

Przedwzrostek

Exemplarz
potędy bez
10
groszy
Prenumerata
miesięczna
2,50

Ilustrowany dziennik narodowy i katolicki

Nr 248

Wydanie

Ł

Rok 68

Piątek, dnia 28 października 1938

W Palestynie prawdziwa wojna

Napływ ochotników do szeregów powstańczych — Biuletyny powstańcze na gmachach urzędowych

OPWSTANIE ARABÓW W PALESTYNI



Żołnierze brytyjscy przed „Lwią Bramą” w Jerozolimie, po walce przystępują do zajmowania dzielnicy staromiejskiej.

Jerozolima (PAT). Trybunał wojskowy skazał na śmierć terrorystę arabskiego, z pochodzenia Egipcjanina. Naczelny dowódca brytyjski w Palestynie gen. Naining zatwierdził wyroki śmierci na czterech powstańców.

Z różnych miejscowości Palestyny napływają wiadomości o aktach terrorku i sabotażu. W nocy oddział powstańców usiłował zaatakować lotnisko w Lydda.

Tysiące Arabów palestyńskich zaciągają się w szeregi powstańcze, nie bacząc na niezwykle surowe represje ze strony władz mandajowych. Naczelny dowódca powstańców wydaje coraz częściej „biuletyny wojenne”, które rozwieszane są na murach miast, często na ścianach budynków rządowych. Szef powstańców Aref-bej, który ma swą kwaterę zakonspirowaną w trudno dostępnych górach, wydał odezwę do kobiet arabskich, dziękując za organizację kongresu w Kairze i zapewniając, że powstańcy zdecydowani są prowadzić swą świętą walkę aż do ostatniej kropli krwi.

Strzały do kobiet i dzieci

Jerozolima (ATE). Podczas strzelaniny u bram słynnego meczetu Haranes-Szerifa w starej dzielnicy Jerozolimy zginęły m. i. 3 kobiety, a kilka kobiet i dzieci odniosło rany. Arabski Komitet Obrony Palestyny nadesłał pismo do angielskich władz wojskowych, w którym wskazuje, że żołnierze angielscy strzelali w pobliżu meczetu, uchodzącego za święte miejsce muzułmanów i że podczas strzelaniny kobiety i dzieci traciły życie lub też odniosły rany. Anglicy mieli strzelać również do minaretu meczetu.

Angielskie władze wojskowe w odpowiedzi na list wydały komunikat, że wojska angielskie „były zmuszone do użycia broni, ponieważ zostały napadnięte przez Arabów”.

Dowódca partyzantów arabskich Abdul Rahim wydał w poniedziałek wieczorem rozkaz niestrzelania do

żołnierzy angielskich, policji i urzędników cywilnych, natomiast napady na Żydów oraz niszczenie mienia państwowego będzie się odbywać nadal. Komitet arabski w ten sposób chce dać dowody dobrej woli ze strony Arabów w chwili, gdy minister spraw zagranicznych Iraku występuje z nową inicjatywą pośrednictwa pomiędzy Arabami a władzami angielskimi.

Protesty przeciw wystąpieniu Ameryki

Jerozolima (PAT). Arabskie kolo Palestyny są oburzone z powodu stanowiska Ameryki w sprawie Żydów w Palestynie. W związku z wystąpie-

niem prezydenta Roosevelta organizacje arabskie wysłały depesze protestacyjne do premiera Chamberlaina i do ministra kolonii MacDonalda. Arabowie wyznają chrześcijańskich (katolicy, protestanci, prawosławni i członkowie kościoła palestyńsko-amerykańskiego) wysłali również depeszę, w której piszą m. in.: „Przewodcy Arabów-chrześcijan jak najostrożniej protestują przeciw wtrącaniu się Ameryki w sprawę palestyńską i jej interwencji na rzecz Żydów. W imię uczuć ludzkich, uczciwości i zasad chrześcijańskich staramy się, aby kraj, w którym Chrystus żył i nauczał, nie był wydany tym, którzy go ukrzyżowali”.

Płonący statek niemiecki na oceanie

W odległości 320 km od najbliższego lądu wybuchł na okręcie groźny pożar

Nowy Jork (PAT). We wtorek o godz. 23 min. 22 schwymano sygnały S. O. S., pochodzące z pokładu parowca niemieckiego „Deutschland”, zdążającego do Nowego Jorku. Statek znajdował się w odległości 320 km na południowy-wschód od przylądka

Race na Nowej Funlandii. Na pokładzie wybuchł pożar. „Deutschland” wyruszył 20 bm. z Bremerhaven. Został wybudowany w 1923 r. Ma pojemność 22 tys. ton.

Wkrótce po nadaniu sygnałów S. O. S. na pomoc podążyły: parowiec

amerykański „Manhattan”, norweski „Europe”, który znajdował się w odległości 120 km od „Deutschland”, amerykański „Collamer”, odległy o 140 km, amerykański „Traveler”, odległy o 200 km, i francuski „Champlain”.

„Deutschland”, na pokładzie którego znajduje się 590 pasażerów i 400 ludzi załogi, zawiadomił w kilka minut po nadaniu sygnałów, iż położenie jest poważne, pożar się rozszerza i niezwłoczna pomoc jest konieczna.

Nowy Jork (PAT) Kapitan transatlantyku „Deutschland” Steincke w rozmowie radiotelefonicznej zakomunikował, że pod wieczór zamierza on ruszyć w dalszą drogę do Nowego Jorku o własnych siłach. Wszyscy pasażerowie znajdują się na pokładzie i żaden z nich nie ucierpiał skutkiem pożaru.

Transatlantyk „Europa” i amerykański „Traveller” pozostają na miejscu, by eskortować „Deutschland” w dalszej podróży.

Hamburg (PAT) Linia okrętowa Hamburg—Ameryka donosi, że przyczyny pożaru statku „Deutschland” nie zostały dotychczas ustalone.

Z raportu kapitana statku wynika, że pożar powstał w ładowni nr 4 i szybko rozszerzał się. Położenie było na tyle groźne, iż wysłano sygnały S. O. S. Dzięki wysiłkom załogi, jeszcze przed przybyciem pomocy ogień zdołano umiejscowić i ugasić. Załoga i pasażerowie nie ucierpieli na skutek pożaru.

Ribbentron w Rzymie

Berlin (PAT) Niemieckie Biuro Informacyjne donosi:

Min. spraw zagr. von Ribbentrop przybędzie w czwartek o godz. 22.50 do Rzymu. Na dworcu powitany zostanie przez min. hr. Ciano. Po wzięciu udziału w uroczystościach z okazji 17-lecia marszu na Rzym, min. Ribbentrop powróci w sobotę wieczorem do Berlina.

Niemieckie żądania kolonialne

Domagają się zwrotu swych dawnych obszarów zamorskich

Berlin (PAT). W związku z wystąpieniem pewnych dzienników angielskich wskazujących na Kongo belgijskie oraz na Angolę portugalską jako na tereny, przy pomocy których można by zaspokoić niemieckie postulaty kolonialne, półrządowa „Deutsche Diplomatisch-Politische Korrespondenz” stwierdza, że Rzesza nie rości pretensyj do tych obszarów, które prawnie

należą do kogo innego, lecz upominają się o zabrane jej kolonie.

Czynione ze strony pewnych kół angielskich próby oswojenia Niemców z myślą, że zwrot kolonii mógłby może nastąpić kosztem strony trzeciej spotkają się teraz i w przyszłości ze stanowczą oraz konsekwentną odmową.

30 bm. wielkie manifestacje w Słowacji

Z okazji obchodu rocznicy deklaracji z dnia 30 października 1918 roku

Bratislava (PAT) Słowacja przygotowuje się do obchodu rocznicy deklaracji z 30 października 1918 r. Wszędzie mają się odbyć wielkie manifestacje i uroczystości.

W związku z tym podjęto akcje, aby we wszystkich miejscowościach słowackich najpiękniejsze ulice i place nazwano imieniem ks. Hlinki. Równocześnie mają być wszędzie przemianowane ulice noszące nazwy masonów i nieprzyjaciół narodu słowackiego.

Deklaracja ogłoszona w Turczańskim św. Marcynie w dniu 30 października 1918 r., przez działaczy politycznych wszystkich stronnictw słowackich stwierdziła w sposób zdecydowany i stanowczy odrębność narodową Słowaków.

W szczególności wydano zakaz wy-

wozu majątku państwowego z terenu Słowacji do innych krajów republiki bez zezwolenia odpowiedniego ministerstwa słowackiego. Cła, podatki i daniny państwowe mają być wpłacane, nie jak dotąd przez P. K. O. w Pradze, lecz na specjalny rachunek w Bratisławie. Utworzono komisję doradczą dla spraw skarbowych i gospodarczych oraz radę bankową dla Słowacji, złożoną z fachowców.

Wydano zarządzenie co do utworzenia tzw. obozów pracy, jakie istnieją już w krajach czeskich. Poza tym opracowano plany w zakresie reorganizacji dyrekcji kolei żelaznej i dyrekcji poczt oraz dokonano szeregu zmian personalnych.



Dwa fragmenty z uroczystości kolo S. N. „Częstochówka” w Częstochowie.

Z NASZEGO STANOWISKA

„Zjednoczenie” a przewodcy obozu „sanacyjnego”

Obóz „sanacyjny” wojuje, jak wiadomo, pod sztandarem tzw. „zjednoczenia narodowego”. Co o tym „zjednoczeniu” sędzić, pisaliśmy w tych dniach na miejscu czołowym. Między innymi postawiliśmy pytanie, które znajduje echo w prasie niezależnej:

„Gdzież byli owi „zjednoczeniowcy” przez z górą dziesięć lat, gdy działo się to wszystko, co spowodowało stosunki, których „zjednoczenie” ogłasza się teraz jako konieczność? Czy widać wśród nich choć jednego, który by wówczas był przestrzegającym przed tym, co się działo, i był wówczas pracował na rzecz istotnego zjednoczenia?”

Przegrali w społeczeństwie politykę, głoszącą za czasów Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem otwarcie „zasadę”: „państwo — to my” i usiłującą złamać politycznie i gospodarczo wszystkich i wszystko o charakterze i obliczu samodzielnym, nie skłonny do gępcia się i płaszcznia; więc teraz chcą tę klęskę dnia wczorajszego zasłonić i społeczeństwo, a szczególnie jego odporne młodsze żywioły pozyskać hasłem, któremu przeczy cała przeszłość obozu „sanacyjnego”, a mianowicie hasłem „zjednoczenia narodowego”. Ogółowi myślącemu jednak wiadomo, że to „zjednoczenie narodowe” jest tylko etykietą, pokrywającą dotychczasowe dążenia tej samej grupy politycznej do opanowania społeczeństwa sztucznymi środkami.

Jak zresztą wygląda to „zjednoczenie narodowe” w umyśle politycznym przewodców „ozonowych”?

Wiceprem. Kwiatkowski wyraża „ściśle osobisty” pogląd na temat odpowiedzialności wszystkich żywiołów patriotycznych i zwartych ugrupowań politycznych za losy i rządy w Polsce na podstawie zasady „równi z równymi” i zwraca się przy tym ku ludowcom i narodowcom (a raczej ku pewnym balansującym luzakom).

Premier Składkowski w wystąpieniach swych, przeciwnie, właśnie uderza w owe zwarte ugrupowania polityczne, przy czym o wiele gwałtowniej zaczepia obóz narodowy względnie „sztab” Stronnictwa Narodowego, niż stronnictwa lewicowe.

Oburzenie na „Polskie Radio”

Ks. M. Nitecki pisze na łamach „Warsz. Dziennika Narodowego” pod adresem „Polskiego Radia”:

„W niedzielę ubiegłą 16 października usłyszeliśmy wieczorem bluźnierstwo, które zdystansowało wszystkie inne występy „Polskiego Radia”. Naprzód tego dnia rano, jak zwykle, zrobiło ono piękny pozor, podając nabożeństwo z kościoła katolickiego, ale za to o godz. 8 m. 15 wieczorem wygłosiło swoistą „pogadankę ludową”, w której opowiadano, jak to Pan Bóg utworzył sobie „ogródek” i w nim dał ogrodnikowi masę rozkosznych owoców, którymi się on tak przejadł, że się Bóg nań „zeźlił, zeźlił”, „skłon” go i wyrzucił z ogródka.

„Niedzielne pogadanki zwykle radio przeznacza dla sfer niższych, zwłaszcza dla chłopów. Używa przy tym w słuchowiskach specjalnego stylu „chłopskiego”, wedle radia odpowiedniego, a wedle ogółu słuchaczy także i ludu wiejskiego, niekulturalnego i ordynarnego.

„Pomijając jednak poziom etyczny takich słuchowisk, sądzimy, że w Polsce nie ma ani jednego uczciwego człowieka, który by w tym „dowcipie”, rzekomo ludowym, w tendencji i treści pogadanki nie widział nie tylko szykany jawnej wobec dogmatu podstawowego chrześcijaństwa, ale nawet wobec największej istoty Boga.”

Ks. Nitecki wyraża swe najwyższe oburzenie z tego powodu i domaga się jak najostrożniejszej konsekwencji w stosunku do sprawców.

Ostatecznie czołowy kandydat „Ozonu” w Warszawie, przewidziany na marszałka przyszłego Sejmu, główny ideolog BB, a teraz OZN, prof. Makowski, zasadniczo odrzuca samą myśl o współpracy „Ozonu” z innymi ugrupowaniami politycznymi, a coż dopiero zasadę „równi z równymi” i przeciwstawia jej swoiście pojęte tendencje monopartyjne, którym nadaje miano „zjednoczenia narodu” w organizacji „Ozonu”. Jest to stanowisko, któremu wyraz dał już oficjalnie szef „Ozonu” gen. Skwarczyński.

Czy przypuszcza kto na serio, że na przyszłości polityki obozu „sanacyjnego” więcej zaważy „ściśle osobisty” pogląd wicepremiera Kwiatkowskiego, niż oficjalne stanowisko władz i czołowych działaczy „Ozonu”, pp. Skwarczyńskich, Makowskich, Miedzińskich itd., oraz postawa polityczna premiera Składkowskiego?

A jak wygląda w ich umyśle sprawa obowiązujących ordynacji wyborczych, sejmowej i senackiej, dokoła których obecnie wszystko się obraca, i kwestia reformy tych ordynacji?

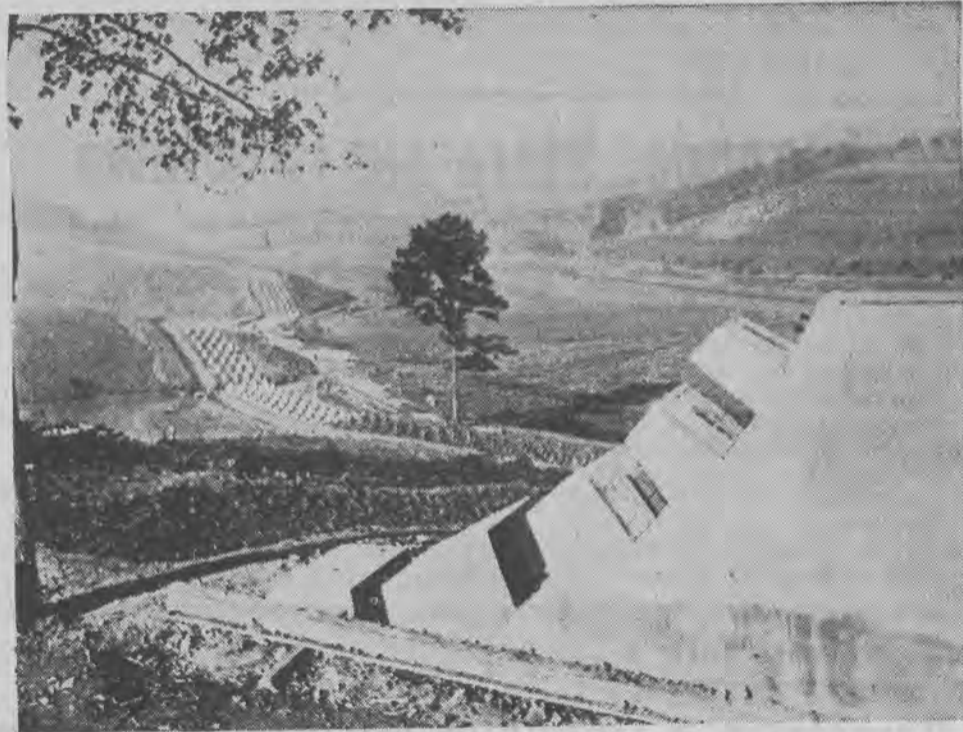
Wicepremier Kwiatkowski nazywa je „błędem”, który „uczynił dużo złego” i oświadcza się wprawdzie w elastycznych słowach („rozluźnienie prawa stawiania kandydatów”), ale jednak wyraźnie za reformą ordynacji wyborczych. Usiłuje tylko przekonać słuchaczy swych, że rząd rzekomo

nie mógł spowodować uchwalenia reformy przez rozwiązany parlament (choć był on tak powolny wszelkim życzeniom rządu) i że „nie pozostało nic innego”, jak sprawę nowej reformy powierzyć nowemu parlamentowi, wybranemu na podstawach dotychczasowych (choć można było przeprowadzić najpierw, jak to zresztą było zamierzone pierwotnie, wybory samorządowe i przez to zmienić obraz kolegiów wyborczych).

Premier Składkowski nie angażuje się w tej sprawie konkretnie ograniczając się do ogólników.

A czołowy kandydat stołeczny prof. Makowski występuje niedwuznacznie w obronie obowiązujących ordynacji wyborczych oświadczając usprawiedliwiająco, że spór istnieje tylko o „formę wyznaczania kandydatów”, co rzekomo „nie ma znaczenia istotnego dla ogółu wyborców”. Prof. Makowskiemu niby nie wiadomo, że chodzi właśnie o takie ujęcie ordynacji wyborczych, by nie były uniemożliwione kandydatury, odpowiadające woli wielkich, zorganizowanych odłamów politycznych społeczeństwa.

Więc dokąd idzie w tej sprawie w rzeczywistości obóz „sanacyjny”? Czy osobiste poglądy p. Kwiatkowskiego zwyciężą drogi i cele kierownictwa „Ozonu”, które wskazuje przyszły marszałek powstającego Sejmu? Nikt trzeźwy chyba wątpliwości w tej kwestii nie ma.



NA „LINII ZYGFRYDA”
Żelazo-betonowe przeszkody przeciw czołgom. Na przedzie przegroda drogowa.

„Ozon” zaprasza w swoje szeregi Żydów

Centrala deklamuje (nieudolnie) o antysemityzmie (!), a poszczególne kółka zapraszają Żydów

Przypadkowo w ręce nasze dostało się pismo, które radomski „Ozon” porzucił do Żydów. Treść tego pisma podajemy poniżej:

Radom, 18 września 1938 r.
Obóz Zjednoczenia Narodowego
Obwód Radom.
Przewodniczący Obwodu
L. dz. 4/132/38.

W. Pan
Inż. Zachariasz Kamm
D. O. K. P. Radom
Wydział Drogowy.

Spodziewając się, że W. Pan docenia znaczenie oraz konieczność rozwoju Obozu Zjednoczenia Narodowego w dobie obecnej mam zaszczyt zaproponować W.Panu przystąpienie do tej organizacji celem współpracowania w budowie Polski wielkiej, potężnej i sprawiedliwej.

W razie pozytywnego ustosunkowania się do powyższego, proszę uprzejmie o przesłanie wypełnionej deklaracji pod adresem: Sekretariat Obozu Zjednoczenia Narodowego Obwód Radom, Radom, ul. Sienkiewicza 11, m. 6. Załącznik jeden.

Przewodniczący O.Z.N. Obwodu Radom (Michał Małuja).

Pismo to jest dowodem, że antysemityzm „Ozonu” jest tylko na papierze, zaś w rzeczywistości „Ozon” pragnie, aby się do niego jak najwięcej Żydów zapisało. (g)

Dr med. H. ZIOMKOWSKI
specj. chorób skór. wener. i moczopłciowych
Łódź, 6 Sierpnia 2, tel. 118-33.
Przyjmuje 9-12 i 3-9. W niedzielę. 9-12.

Wspomnienia wyborcze

W roku 1928, w wyborach odbywanych na zasadzie dawnej ordynacji wyborczej, „sanacja”, znajdująca się w całym rozpedzie i posiadająca pełnię władzy, uzyskała jedną czwartą ogółu wybranych posłów i senatorów. Było to wtedy, gdy afisze wyborcze głosiły: „Głosuj na jedynkę, a będziesz jadł szynkę”, — oraz, gdy akt wyborów wywołał całą falę protestów przeciwko ich ważności. Protesty te wskazywały na nadużycia wyborcze, którymi zajął się Sąd Najwyższy i uczul się zmuszony w szeregu okręgowych wyborów unieważnić, rozpisując je na nowo w początkach 1930 roku.

W nowych wyborach „sanacja” mogła swobodnie stanąć w szrankach wyborczych i udowodnić, że protesty przeciw ważności wyborów nie są uzasadnione. Ówczesna ordynacja wyborcza dawała jej równą szansę z innymi ugrupowaniami.

W tych warunkach udział w wyborach obozu „sanacyjnego” byłby z punktu widzenia rzeczowego całkowicie logiczny, tym bardziej, że absencja mogła wówczas spowodować rozbieżność głosów na korzyść mniejszości narodowych.

Ale — logika swoją drogą, a „sanacja” swoją. Ogłosiła ona wówczas, obrażona, bojkot wyborów uzupełniających, rozpisanych na zasadzie postanowień Sądu Najwyższego. W „sanacyjnych” gazetach i ulotkach wzywano publicznie do całkowitego wstrzymania się od udziału w wyborach.

Między innymi wybory uzupełniające rozpisano w okręgu gnieźnieńskim i mieszkańcy okręgu gnieźnieńskiego mają to doskonale w pamięci. W agitacji przeciw udziałowi w wyborach „sanatorzy” używali odezwy, które kończyły się następującym wezwaniem:

„Kto uczciwy, kto zachował niezatrute jadem partyjnym sumienie narodowe i państwowe, ten udziału w obecnych wyborach nie weźmie.”

Skutek tego wstrzymania się od wyborów obozu „sanacyjnego” w okręgu gnieźnieńskim, gdzie wówczas — dziś tego nie ma — wysunięta też była kandydatura niemiecka, był ten, że Niemcy przeprowadzili swego posła.

Nie zawadzi w każdym razie wspomnieć, że „sanacja” ogłosiła w roku 1930 bojkot wyborów, że go propagowała w słowie i piśmie i nie spotkała się w tej czynności z żadnymi przeszkodami władz administracyjnych.

Za plecami gen. Składkowskiego

Warszawski korespondent wileńskiego „Słowa” tak przedstawia wrażenie niedzielnej mowy p. premiera Składkowskiego na lewicy:

„W kołach politycznych przeważa przekonanie, iż jednym z celów zaostrzenia kursu w stosunku do „endecji” jest chęć osłabienia bojkotu po stronie lewej opozycji. W PPS bowiem, a także wśród części ludowców ostry atak reżimu na Stronnictwo Narodowe jest widziany bardzo sympatycznie.

„Charakterystyczne było stanowisko prasy socjalistycznej, która przyjęła przemówienie gen. Składkowskiego, mimo zawartych w nim niemiłych akcentów także i dla socjalistów, bardzo spokojnie, prawie że dobrze. Południowy organ socjalistyczny, zestawiając przemówienia gen. Składkowskiego i prof. Makowskiego, staje wyraźnie po stronie premiera Składkowskiego zajmując się tylko jego oświadczeniem w sprawie ordynacji wyborczej. To stanowisko prasy socjalistycznej wskazuje na to, jaki lek panuje na lewicy przed Stronnictwem Narodowym i jak chętnie lewica, ilekroć tylko może, chowa się za plecy gen. Składkowskiego i gołędninowskich oddziałów.”

Poco te zabiegi?

W nawiązaniu do niedzielnego przemówienia p. premiera Składkowskiego czytamy w „Warsz. Dzienniku Narodowym”:

„Jeżeli — jak twierdzi premier Składkowski — opozycja, zwłaszcza Stronnictwo Narodowe (którego premier wydaje się przede wszystkim być przeciwnikiem), jest obozem ludzi „słabych, zgorzkniałych i zawiedzionych” — to poco te zabiegi o nich?”

Czy nie lepiej, że w parlamencie zasiadać będzie sam „Ozon” ludzi „mocnych, radosnych i pełnych nadziei”?

Rezygnacja ks. Weryńskiego

Polska Katolicka Agencja Prasowa donosi:

„Ks. mgr Henryk Weryński nadesłał KAP list, w którym oświadcza, iż zrezygnował ze stanowiska prezesa tymczasowego zarządu głównego Związku Katolickich Radiostuchaczy.”

Jak wiadomo, ks. Weryński zamierzał z ramienia „Ozonu” kandydować do Sejmu — nie uzyskał jednak zezwolenia najwyższych władz duchownych.

Mason ukrywał w swoim mieszkaniu przestępcę

Sąd zatwierdził wyrok na żydowskiego adwokata, członka loży „Ogniwo“

Na wokandzie Sądu Apelacyjnego w Warszawie znalazła się we wtorek sensacyjna sprawa żydowskiego adwokata, Jakuba Muszkata, oskarżonego o ukrywanie poszukiwanego przez policję i władze wojskowe Alfreda Zielonego, bogatego Żyda warszawskiego, który uchylał się przed odpowiedzialnością sądową.

Zielony znany jest już z wielkiego procesu, w ub. r. w sądzie wojskowym. Zasiadał on wówczas wraz z sierżantem Deterlingiem i kilku Żydami, którzy uchylali się od odbycia ćwiczeń wojskowych. Sierżant Deterling był na usługach loży masonskiej „Ogniwo“ i wypisywał współoskarżonym w książeczkach wojskowych zaświadczenia, że odbyli ćwiczenia.

Sąd wojskowy skazał Zielonego na półtora roku więzienia za dezercję, a Sąd Okręgowy w dn. 24 bm. za dawanie łapówek sierżantowi Deterlingowi, na rok więzienia i 10.000 zł. grzywny.

Sprawa się wydała. Policja zaczęła poszukiwać Zielonego i wówczas okazało się, iż był on ukrywany w mieszkaniu adwokata Jakuba Muszkata, Mazowiecka 4.

Sąd Okręgowy po rozpoznaniu sprawy w dn. 24 i 25 kwietnia rb. skazał adwokata Muszkata Jakuba na 2 lata więzienia. W ustnych motywach Sąd stwierdził, że oskarżony wiedział, co robi, ukrywając dezercera, i stał się przez to swego rodzaju paserem.

Co do loży „Ogniwo“ — to Sąd stwierdził, że ustrój tej organizacji był ukryty, co jest już przestępstwem i świadczy o jej obliczu.

Na rozprawie apelacyjną zawezwano 2 świadków Żydów, którzy do sprawy nie nowego nie wnieśli.

Prokurator Żeleński rozpoczął przemówienie oskarżycielskie od stwierdzenia faktu, iż sprawa ta jest niezwykła, bo na ławie oskarżonych siedzi adwokat, który ukrywał dezercera prawnika. Adwokat, który zaledwie 2 miesiące przed popełnieniem przestępstwa złożył przysięgę adwokacką. Niezwykła jest również dlatego, że zarówno adw. Muszkata jak i dezercer Zielony byli członkami loży „Ogniwo“. A loża ta poza statutem miała, zdaniem prokuratora Żeleńskiego, inne jeszcze cele i zadania ukryte, — a więc wszystkie cechy przestępstwa z art. 165 k. k. („Kto bierze udział w związku, którego istnienie, ustrój lub cel ma pozostać tajemnicą wobec władzy państwowej, podlega karze więzienia do lat 3, lub aresztu do lat 3“).

Na zakończenie swego przemówienia prokurator zażądał zatwierdzenia wyroku pierwszej instancji.

Obrońcy oskarżonego adw. Żydzki, Ruff i Miller, usiłowali zbagatelizować zarówno przestępstwo, popełnione przez Zielonego, jak i adw. Muszkata, oraz znaczenie loży „Ogniwo“.

Szczególnie zaś dużo czasu poświęcił adw. Miller sprawie loży „Ogniwo“ i zeznaniom kpt. Łukowskiego. „Ogniwo“, zdaniem żydowskiego obrońcy, to organizacja snobów z pewnej określonej sfery, których nie można traktować poważnie“. Zeznania kpt. Łukowskiego uznał obrońca Żyd — za nielogiczne, za pochodzące ze „sfery fantazji“, którymi „chciał sugerować Sąd“.

Dezercja Zielonego w pojęciu adwokata Żyda, nie była niczym „brudnym“, ani „złym“, bo on chciał tylko uchylić się od ćwiczeń, a nie od służby wojskowej.

Słuszną odprawę dał adw. Millero-

wi prokurator, zaznaczając, że dezercja jest przestępstwem najbrudniejszym i złym, bo godzi w interesy państwa. Równocześnie prokurator wyraził zdziwienie, że adwokat w sądzie używa wzdurliwych i lekkomyślnych określeń o przestępstwie takim, jakim jest dezercja. Nie wolno bowiem w sali sądowej wyrażać poglądów o łamaniu prawa.

Przez cały czas rozprawy, a szczególnie w czasie przemówienia proku-

ratora, Żyd Muszkata rumienił się. W ostatnim słowie oskarżony prosił o uniewinnienie.

Na replikę prokuratora obrońcy Żydzki nie odpowiedzieli.

O godz. 18 wieczorem Sąd w składzie: przewodniczący — K. Hermanowski, C. Łuński i A. Skawiński, zatwierdził wyrok pierwszej instancji, skazujący adw. Muszkata na 2 lata więzienia, dzieląc również motyw Sąd Okręgowy. (dc)



Jak donosimy na innym miejscu, w Rumii odbyła się piękna uroczystość poświęcenia proporca Stronnictwa Narodowego, która zgromadziła liczne zastępy narodowe. Na zdjęciu od lewej ks. plk Wrycza dokonuje przeglądu pocztów sztabowych.

Wśród biesiadników zamordował nowożeńca

Po blahej kłótni wbił nóż w pierś pana młodego

Tarnów, 26. 10. W miłym weselnym nastroju odbył się ślub Józefa Gahuska w Łękach ad Jasło. Nic nie zwiastowało nieszczęścia. Rozbawione towarzysztwo, wróciwszy z kościoła, zaczęło biesiadować. Podczas uczytu weselnej z blałych powodów wybuchła kłótnia między panem młodym a Józefem Jakubasem. Weselnicy starali się załagodzić spór, ale krewki Jakubas podniecający się własnymi słowami, nie tylko nie dał się uspokoić, ale chwycił za leżący na

stole nóż i wbił po rekojeść w pierś nowożeńca, który w chwilę później wyzionął ducha.

Weselnicy ochłonawszy z pierwszego wrażenia rzucili się na bestialskiego mordercę i usiłowali go złinczować. Z trudem udało się go uratować od niechybnej śmierci. Mordercę aresztowała policja i oddała do dyspozycji władz sądowych.

Wypadek wstrząsnął całą okolicą i jest szeroko komentowany.

Wędrowniacy po aresztach poznańskiego narodowca

W jakich warunkach pracują narodowcy poznańscy

Poznań, 26. 10. — W ub. tygodniu odbyło się w Stęszewie pod Poznaniem publiczne zebranie przedwyborcze Str. Narodowego, które doszło do skutku mimo licznych przeszkód ze strony władz. Na zebraniu tym przemawiał m. i. członek Zarządu Grodzkiego S. N.

w Poznaniu p. Mściśław Frankowski.

Dnia następnego, tj. 17 bm., po południu w mieszkaniu p. Frankowskiego zjawili się posterunkowi P. P., którzy aresztowali go przewożąc go równocześnie do Stęszewa. Tam oświadczone mu, że stoi pod zarzutem pu-

blicznego nawoływania do bojkotu wyborów. W areszcie policyjnym w Stęszewie przesiedział p. Frankowski 48 godzin, po czym wypuszczony został „na wolność“. W drodze do Poznania towarzyszył mu „dla ochrony“ jeden z policjantów, który „dziwnym trafem“ spotkał na szosie dwóch swoich kolegów z Poznania. Ci „zaopiekowali się“ z miejsca p. Frankowskim dostawiając go do... aresztu przy komendzie P. P. w Poznaniu. Tam podczas przesłuchania oświadczone mu, że miał zrywać afisze przedwyborcze „Ozonu“ oraz ogłoszenia komisji wyborczych. W areszcie w Poznaniu przetrzymano p. Frankowskiego także 48 godzin, po czym miano go zwolnić. W odpowiednim momencie zjawili się w komendzie P. P. dwaj posterunkowi z Fabianowa, którzy już mieli nakaz doprowadzenia p. Frankowskiego do tamtejszego aresztu w celu „przesłuchania“.

Zdecydowana postawa aresztowanego narodowca oraz stanowcze żądanie przedstawienia mu nakazu aresztowania względnie zaprowadzenia go do sądziego śledczego sprawiły, że władze zrezygnowały z dalszego „przesłuchania“ p. Frankowskiego w aresztach policyjnych, wypuszczając go wreszcie na wolność.

Proces o najście na posterunek P. P.

Warszawa. (Tel. wł.) Przed Sądem Apelacyjnym stanie 11 wieśniaków, którzy 10 października ub. r. zdemolowali posterunek policyjny i wybili szyby w Suchowoli. Poszło o to, że policja aresztowała jednego z młodzieży który miał utarczki z Żydami i w którego obronie stanęła reszta młodzieży wiejskiej. Skazano 11 osób od 6 miesięcy do 2 lat, a 17 zwolniono. (w)

Zmiany na stanowiskach inspektorów szkolnych

Warszawa. (Tel. wł.) W województwach centralnych i wschodnich dokonano licznych przesunięć kuratorów i inspektorów szkolnych. 11 inspektorów szkolnych zmieniono. (w)

Kapitan portu kłajpedzkiego w Gdyni

Gdynia. (PAT) W dniu wczorajszym przyjechał do Gdyni na statku „Marieholm“ kapitan portu kłajpedzkiego, p. Dowgierd. Podczas swego pobytu w Gdyni p. Dowgierd złożył wizytę kapitanowi portu gdyńskiego kmdr. Kańskiemu, a następnie zwiędził port interesując się specjalnie urzędzeniami przeladunkowymi dla drzewa.

Z Gdyni udał się p. Dowgierd do Gdańska, skąd odjeżdża statkiem „Marieholm“ do dalszych portów bałtyckich.

Jakie obywatelstwo?

Warszawa. (Tel. wł.) Do konsulatu czeskiego zwracają się Czesi zamieszkali w Polsce, obywatele czescy, pochodzący z terenów objętych obecnie przez Rzeszę, z zapytaniem o wyjaśnienie ich przynależności państwowej. (w)

Cebula z Polski do Anglii

Warszawa. (Tel. wł.) Przez Gdynię skierowano obecnie do Anglii wiele produktów rolnych, m. i. świeżo odszedł transport 2 tys. ton cebuli z kreśłów wschodnich. (w)

Morderca kolejarza z Zabek popełnił samobójstwo

Dwaj groźni bandyci ukryli się przed pościgiem policyjnym w pustej willi — Jeden bandyta popełnił samobójstwo, drugi został raniony

Warszawa. (Tel. wł.) Do willi „Kałwaryjka“, należącej do Henryka Dreifussa, opuszczonej przez mieszkańców, skryli się Wacław Taciak oraz Stanisław Dębek, dwaj bandyci poszukiwani przez policję. Dębek miał na sumieniu wielką ilość morderstw, napadów i kradzieży, m. in. zastrzelił policjanta Czajkowskiego, zaszczepił kasjera Babulewicza w Zabkach, dokonał rozmaitych napadów rabunkowych w miejscowościach podstołecznych.

Policja otrzymała we wtorek wieczorem poufną informację, że Taciak będzie nocował w pustej willi. Oddział policji otoczył w nocy otaczający willę zagajnik, czekając przybycia bandyty. Nad ranem Taciak zakradł się

do willi. Policja, w chelmach otoczyła dom. Willa zbudowana jest w ten sposób, że na froncie willi znajduje się sklep, obecnie pusty, a w tyle jest pokój z osobnym wejściem. W tym właśnie pokoju skrył się bandyta. Kiedy policja zaczęła wzywać bandytę do poddania się, usłyszała głos: „Zaczekajcie chwilę, napiszę testament“. Po kilku minutach usłyszano strzały. Policja udala się do pokoju i znalazła Taciaka na łóżku z rewolwerem w ręku. Taciak miał serce przestrelone. Korzystając z pewnego zamieszania, drugi bandyta Dębek, trzymając w obu rękach rewolwery chciał uciec. Policja dała do niego szereg strzałów, a 6 kul trafiło bandytę raniąc go w ręce, nogi i bok.

Dochodzenie ustaliło, że obaj bandyci w ostatnim tygodniu dokonali w okolicy Falenicy 7 kradzieży. Z dokumentów znalezionych przy Taciaku widać, że zamierzał on uciec do Niemiec i w tym celu utrzymywał korespondencję z przestępcami niemieckimi. Taciak był już uprzednio ranny trzykrotnie. W czasie rewizji znaleziono u niego 2 srebrne zegarki na rękę i rozmaite wycinki z dzienników dotyczące ścigania zbrodniarzy. Rewolwer, którym zastrzelił się Taciak, jest cały pokryty plamami krwi.

Aresztowano jego przyjaciółkę oraz jej siostrę, mieszkające niedaleko Falenicy. (w)

na gorącym uczynku

„Dziennik Poznański“ donosi, że na murach Warszawy ukazały się afisze „OZN“, wzywające do udziału w wyborach parlamentarnych, a powołujące się na wspomniane przez nas przed kilku dniami oświadczenie ks. Prymasa kard. Hłonda, złożone „Małemu Dziennikowi“. Afisze te miały być także rozlepione po Poznaniu; władza duchowna jednak według „Dziennika“ sprzeciwiła się temu, gdyż ks. Prymas wogóle nie był pytany o zgodę na tekst i formę tej propagandy wyborczej.

Organ konserwatywny zastrzeżę się stanowczo przeciwko wciąganiu osoby ks. Prymasa w walkę wyborczą.



33)
— O nie, proszę pani. Wszystkie wielkie miasta, które poznałem, były dla mnie egzotyką, tęskniłem do kraju.

— Do Prudów?
Może — uśmiechnął się do niej, — ale do tych Prudów, do których już mam dostęp zamknięty, do Prudów, z którymi się żyłem: do folwarku, do oficyny, do pokoju kredensowego, do bryczki służbowej... Do ludzi, do tych samych ludzi, którzy i dzisiaj tam są, lecz już nie potrafią mówić ze mną tak, jak dawniej, i patrzeć inaczej... Nie ma już dawnych moich Prudów.

— Czyż te nowe nie dają panu dostatecznego ekwiwalentu uczuciowego?

— Nie — odpowiedział krótko i zamilkł.

Znowu długo milczeli i Kate przyszło do głowy, że ten człowiek, tak zajmująco umie milczeć. Odnosiło się wrażenie, że w tym milczeniu jego myśli pracują intensywnie, rytmicznie, że układają się jak piramida w konsekwentną całość, której skutkiem musi być jakieś nowe odkrycie czegoś w sobie lub w tym, z kim w danej chwili przebywa. Właśnie wy-czuwało się z nim ten dziwny kontakt podczas jego milczenia. Tylko Fred Irving z jej znajomych umiał przez dłuższy czas nie odczuwać się ani słowem. Ale w milczeniu Freda wy-czuwało się jakiś chaos, bezradność, bezpłodność. Milczenie jego przełożo-ne na słowa ograniczało by się do kilku wyrazów powtarzanych bez końca.

— A pani — odezwał się Tyniecki — brak pani Prudów?

— Nie wiem — odpowiedziała niepewnie. — Mam dużą zdolność przystosowania się do każdego zmienio-nych warunków.

— O, wiem o tym. Ale przecież zostaje miejsce na jakieś tęsknoty, na jakieś marzenia?...

— Nie powinno zostawać — po-wiedziała twardym akcentem.

— Odbiera pani ludziom to, co w życiu jest najpiękniejsze.

— Nie ludziom, nie wszystkim. Tylko tym, którzy w jakiś wyraźny sposób ustalili swe życie, zamknęli je w jakieś ostateczne formy.

ROGER POSŁUSZNY KATE

— Tymczasem pobyt jego w stolicy przedłużał się. Mijały tygodnie. Przed świętami Bożego Narodzenia Kate otrzymała od ciotki Matyldy list. Stara pani uskarżała się na coraz gorszy stan zdrowia. Pisała, że przed paru dniami miała niebezpieczny atak serca i że w związku z tym musiała na stałe sprowadzić do Prudów lekarza, który nie ukrywa niepokoju i radzi wezwać specjalistę. Narzekała też na samotność.

„Mój syn — pisała — nie uważa za konieczne osiedlenie się w Prudach. Swoje synowskie uczucia zaspakaja jednym listem na dwa tygodnie. Otrzymuję je punktualnie co drugi czwartek z wieczorną pocztą. Mogłabym ich nie czytać. Są do siebie podobne i tak dalekie. Nie wiem czy go widuję, bo jest w Warszawie. Uszczęśli-wiłabyś swoją starą ciotkę, gdybyś bo-daj na kilka dni wpadła do Prudów”.

Tegoż popołudnia na herbatce u Polaskiego Kate powiedziała Tynieckiemu:

— Miałam list od ciotki Matyldy. Pytała, czy widuję pana i skarżyła się na zły stan serca.

— Wiem o tym, że tam nie jest zupełnie dobrze. Dziś byłem u specja-listy, profesora Nierensa i wysłałem go do Prudów. Upoważniłem go rów-nież do wezwania z Berlina lub Wied-nia tego z jego kolegów, którego uzna-za za potrzebnego. Zrobiłem wszystko, co mogłem.

— Powiedział pan to takim tonem — odezwała się po pauzie Kate — jak-bym robiła panu jakieś wyrzuty.

— Ależ bynajmniej. Ponieważ jed-nak moja matka, jak przypuszczam,

— To nie wydaje mi się prawdą — powiedział po pauzie.

— Co mianowicie?

— Ze życie zna jakieś formy osta-teczne. Forma ostateczna to śmierć. Życie nie zna form ostatecznych. Nie może znać, bo nie było by życiem, nie było by ustawiczną przemianą, pełną niespodzianek uzależnionych od czyn-ników wewnętrznych i zewnętrznych. Życie ma nieograniczone możliwości.

W jego głosie było jakby podnie-cenie:

— Nie każde życie jest życiem — z uśmiechem odpowiedziała Kate.

Zmarszczył brwi:

— Chyba pani w to nie wierzy... — zaczął.

Przerwała mu:

— Oto już mój dom. Będziemy mieli sposobność nieraz jeszcze o tym pomówić, jeżeli o takich rzeczach mó-wić warto. Do widzenia panu.

Schylił się nisko całując jej rękę:

— Do widzenia pani.

Do rozmowy tej jednak nie wrócili, chociaż widywali się co kilka dni. Kate doszła do przekonania, że i tak jej uwaga była zbyt przejrzyta, że Tyniecki mógł domyślać się, iż nie jest szczęśliwa. To też w ciągu no-wych spotkań, czy to u siebie w domu, czy w pracowni pani Jolanty, nie unika-ła żadnej okazji, by podnieść pogó-dę swego małżeństwa, by dać do zro-zumienia, że z Gogiem jest zupełnie szczęśliwa.

Trudno było stwierdzić o ile Ty-niecki temu zechciał uwierzyć. Zachowywał poprawny dystans, pełny życzliwości, lecz nie skrącający się do rozmowy o sprawach osobistych. Przesiadywał często u pani Jolanty, zaczął też bywać pod „Lutnią”. Jego stosunek do Goga pozornie nie różnił się niczym od stosunku do wszyst-kich jego przyjaciół. Ilekroć nadawa-ła się sposobność rozmawiali dużo, przeważnie o zagranicy, którą Gogo znał znacznie lepiej od Tynieckiego, a zatem mógł się tym popisywać.

— Zupełnie przyjemny z niego człowiek — mówił Gogo o Tynieckim — kto by się to spodziewał.

Co sądził Tyniecki o Gogu, wiedzia-ła może jedna pani Jolanta, lecz do Kate to nie docierało.

uważa moją nieobecność w Prudach za brak troskliwości, chciałem, by pa-ni wiedziała, że tak nie jest.

— Jednak ciotce nie tyle chodzi o troskliwość, ile o pańską obecność.

— Na razie nie mogę wyjechać z Warszawy.

— Może napisze pan to ciotce?

— Pisuję regularnie. O ile zaś bę-dzie groziło bezpośrednie niebezpie-czeństwo, zostanie o tym powiadomio-ny przez profesora Nierensa telegra-ficznie. Wtedy oczywiście natychmiast pojedą.

W pół godziny potem sam powró-cił do tego tematu.

— Wyczułem w naszej rozmowie pewien ton, który zrobił na mnie wra-żenie, jakby pani mnie potępiała za brak czułości w stosunku do matki.

— W żadnym razie nie można te-go nazwać potępieniem. To zbyt silne i w ogóle nietrafne słowo — zaprote-stowała.

— Więc po prostu razi to panią czy chociaż martwi.

— Nie, proszę pana, żywię wiele serdecznych uczuć dla ciotki i najzwyczajniej w świecie smuć mnie jej smutki. A mam wrażenie, że nie do-tykam pana, gdy o tym mówię.

— O, nie — zaprzeczył gorąco — przeciwnie. Wielką przyjemność spra-wia mi możliwość mówienia z panią o tych sprawach, które nas łączą... Do zajmowania się którymi — popra-wił się — oboje z panią mamy prawo.

— Bardzo to miłe z pańskiej stro-ny — odpowiedziała konwencjonalnie, i dodała: — Sądzę, że ciotka Matylda ucieszyłaby się, gdyby pan bodaj na krótko ją odwiedził.

Ktoś zbliżył się do nich i rozmowa przeszła na inne kwestie. Nazajutrz rano Gogo zapukał do sypialni Kate:

— Przed chwilą telefonował Ty-niecki, by nas pożegnać. Wyjeżdża na dwa dni do Prudów. Oczywiście powiedziałem, że poza serdecznymi pozdrowieniami żadnych. Wiesz, że on mi się coraz więcej podoba. To wcale niezły chłop. Czy zauważyłaś, że zachowuje się tak, jakby chciał na-wiązać z nami bliskie stosunki?

— Zachowuje się normalnie.

— W każdym razie już teraz nie mam obawy, że zrobi mi świństwo i cofnie rentę. Przyznam ci się, że wciąż żyłem pod strachem. Nie mówiłem ci tego, ale po takim typie spodziewa-łem się najgorszych szykan.

— Po takim typie? — zapytała z

naciskiem.

— No po takim, jakim się okazał zaraz po tym twoim nieszczęsnym od-kryciu. Takim go pamiętam. To straszne zależeć od kaprysu podobne-go człowieka.

— Nie sądzę, by należał do ludzi kierujących się kaprysami — zauwa-żyła obojętnie.

— Jaki nie?... Więc dlaczego najpierw kategorycznie odmówił mi jakiejkolwiek renty, a później nagle okazał się hojny?... Kaprys. Ale mniejsza o to. Tak czy owak staraj się dlań być uprzejma. Garnie się do nas, jest zupełnie comme il faut, więc nie widzę powodu, dla którego mieli-byśmy go zrażać i ryzykować zmianę jego humorów.

Zatarł ręce i wyszedł.

NIEPOKOJĄCE MYŚLI

Słowa Goga przeraziły Kate. Istotnie w ostatnich czasach nie zadawa-ła sobie trudu, by ukryć sympatię, jak-ą żywiła do Tynieckiego. Pociągała ją jego indywidualność, której nie u-miała określić, odpowiadała jej jego powściągliwość i to, że żadnym słow-em, żadnym ruchem żadnym sądem nie raził. Właśnie nie raził. Tukałło z całą swoją gaskońską wspaniało-ścią, a nawet z tą przesadną elegan-cją po paru godzinach zaczynał nu-żyć, Polaski po dłuższym czasie sta-wał się banalny, nawet Irving potra-fił być męczący. Z Tynieckim można było przestawać zawsze z tym prze-świadczeniem, że nie wywoła ani nu-dy ani rozdrażnienia. Wszystko od-bywało się w nim, a nazewnątrż ujaw-niało się już w gotowych umiarkowa-nych i harmonijnych formach.

Kate okazywała mu to, że go wy-różnia i teraz ogarnęła ją obawa, jak Tyniecki to rozumie? Czy nie przy-jdzie mu na myśl, że chce go sobie zjednać z niższych pobudek, dla za-pewnienia sobie i mężowi tych pienię-dzy, które dawał im z łaski?

— W każdym razie — pomyślała — muszę wrócić do dawnego dystan-su.

Tego dnia miała po raz ostatni po-zować pani Jolancie, która chciała zrobić jeszcze jakieś poprawki. Przy tej sposobności Kate postanowiła wy-badać ją. Tak inteligentna i tak by-stra w obserwacji kobiety, jak pani Jolanta na pewno zauważyłaby naj-drobniejsze objawy wyróżnienia oka-zywanego przez Kate Tynieckiemu i

NIEBEZPIECZNY MĘŻCZYZNA

— Wie pani, że Tyniecki wyjechał do siebie na wieś — odezwała się Ka-te. — Nie przeszkadza pani to, że mó-wię?

— Ależ proszę, mów kochanie. Więc wyjechał?... To dziwne.

— Dlaczego dziwne?

— Bo wydawało mi się, że żadna ludzka siła nie wyprawi go z Warsza-wy. Czyście mieli jakąś rozmowę?

— Owszem. Mówiliśmy o jego mat-ce, która jest niebezpiecznie chora.

— Ach tak! Więc dla tego wyje-chał.

— Tak sądzę.

Kate była przekonana, że wyjechał właśnie na skutek jej rozmowy. Było to jak wszystko co robił. Przemówiła mu do przekonania i po namyśle z-decydował się. Było to bardzo ładne z jego strony.

— Kuzyn pani, Kate, — odezwała się zła płótna Jolanta — to jest pierw-szy niebezpieczny dla pani mężczyz-na jakiego spotkała pani w życiu.

— To chyba żart — zaśmiała się niezupełnie szczerze Kate. — Nie czu-ję żadnego niebezpieczeństwa.

— Czuję pani.

— Ależ znam go od lat.

— I od lat wie pani, że on się w pani kocha?

— Kate oniemiała. Co za oburza-jący nonsens! Kocha się! Oczywiście wiedziała, że ją lubił zawsze. I teraz

potrafiłaby ocenić rodzaj jego opniń o tym wyróżnieniu. Kate o tym nie wątpiła z dwóch względów. Po pierw-sze wiedziała, że Tyniecki cieszy się dużym zainteresowaniem u pani Jo-lanty, a po drugie pani Jolanta i ją o-taczała szczególniejszą adoracją. W jej stosunku do siebie Kate wyczuwała coś jakby przesadnego, jakby żenują-cego napięcie serdeczności, dbałości i usłużności.

— Ty się kochasz w pani Kate — powiedział jej kiedyś Tukałło.

— Zawsze kochałam się w Pięknie — odpowiedziała pani Jolanta i wzię-wszy Kate pod rękę musnęła wargami jej włosy.

— Czy gniewa się pani?

— Nie, ale nie trzeba tego — u-smiechnęła się Kate i szybko zapytała, by zmienić temat: — Czy dzisiaj wy-starczy pani twarz, czy muszę się przebrać?

— Ależ tak, kochanie. Chodzi mi o korektę linii biodra. Czy tu jednak nie za zimno?... Może wypije pani kieliszek wina. Grzanego, czerwone-go wina?... Zaraz przyrządzę.

— Nie, nie. Dziękuję.

Kate zaczęła się rozbierać, a pani Jolanta jak zwykle asystowała przy tym obsypując ją zachwytaami. Póź-niej drapowała na niej purpurowy szal z frędzla i upozowała w ogrom-nym fotelu. Nie miała na sobie zwy-kłego kitla. Była w czarnym jed-wabnym szlafroku z rozciętymi rękawami, odsłaniającymi ręce okrągłe smagłe i jędrne. Wzięła paletę i sta-nęła przy sztalugach.

i wtedy, gdy była dlań „jaśnie panien-ką”. Ale stąd do miłości jeszcze dale-ko.

— Nie oświadczał się nigdy. Praw-da? — ciągnęła Jolanta. — To jego genre. Może nawet družbował na waszym ślubie? I to w jego rodzaju. Ale macie to szczęście, czy nieszczę-ście, że oboje jesteście ślepi.

Kate wruszyła ramionami:

— Doprawdy pani ma dziwaczne przypuszczenie. Dopatruje się pani rzeczy nieistniejących. O żadnych u-czuciach między nami nie było mowy, nie mogło być mowy poza zwykłą sympatią, którą...

— Którą — podchwyciła Jolanta — pani go darzy. Ale on kocha się w pani.

— Nonsens — z przekonaniem po-wiedziała Kate. — Przypuszczenie ta-kie mogło powstać tylko u pani, bo pani wszędzie szuka jakichś nadzwyczajnych uczuć, ukrytych namiętno-ści, tajemniczych pobudek.

Po chwili milczenia Jolanta zau-ważyła:

— Jeszcze nigdy nie widziałam pa-ni, droga Kate, protestującą z takim ożywieniem. Nie sądziłam, że samo podejrzenie pana Tynieckiego o głę-bsze uczucie dla pani, oburzy ją aż w tym stopniu.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Zmarzli w upalny dzień letni

Zamknięci w chłodni — Śmierć przed oczyma — Ocaleni

Chicago posiada największe rzeźnię i przetwórnictwo mięsne na kuli ziemskiej. Zakłady te tworzą prawdziwe miasto, miasto śmierci dla milionów zwierząt, które molochem ten codziennie pochłania. Mięso, o ile natychmiast nie zostaje oddane grosistom, przechowywane bywa w olbrzymich chłodniach podziemnych, w których stale panuje era lodowata. Są to

Jaskinie lodowcowe,

wzdłuż ścian których biegą śniegiem pokryte rury z płynami zamrażającymi. Robotnicy pracują tutaj w specjalnych ubraniach ochronnych. Dla nich jest zawsze zima. Muszą oni być szczególnie odporni na zmiany temperatury.

Ciekawe te nad wyraz urządzenia zwiedzają często turyści. Niedawno temu pokazywano chłodnie większej grupie turystów. Między nimi znajdowali się także dwaj Francuzi, którzy

podróżowali w celach naukowych

po Stanach Zjednoczonych. Ogółem grupa zwiedzających liczyła 40 osób. Prowadzili ją dwaj dozorczy. Każdy z uczestników otrzymał płaszcz płócienny, który wprawdzie nie wielki, ale stanowił ochronę przed zimnem. Zwiedzanie chłodni odbywać się miało bardzo szybko.

Na świecie było lato. Turyści prawie biegać, mijali chłodnie. Praca w chłodniach już się skończyła, dozorczy otwierali drzwi przed zwiedzającymi. Zwiedzanie miało się już ku końcowi, kiedy w ostatniej hali zainteresowało coś szczególnie jednego z Francuzów, inżyniera, przy przewodach chłodnikowych. Przystanął więc razem ze swym towarzyszem i zaczął mu wyjaśniać zalety oryginalnej konstrukcji. Głos turystów coraz bardziej oddalał się, by wreszcie zupełnie ucichnąć.

Kiedy obaj Francuzi podążyli za resztą turystów, zastali drzwi wyjściowe zamknięte na klucz. Zrazu sytuacja wydawała im się komiczną. Następnie

usiłowali otworzyć drzwi,

ale przekonali się niebawem, że jest to usiłowanie zupełnie beznadziejne. Nagle ogarnął ich lęk. Poczynają krzyżeć. Groźnie odbija się głos o pokryte śniegiem ściany hali.

— Zauważają chyba, że nas nie ma — pocieszał towarzysza inżynier. — Ależ naturalnie, muszą zauważyć naszą nieobecność.

Po pół godzinie atoli mają pewność, że nieobecność ich nie została zauważona. Towarzysz inżyniera, mając słabsze nerwy, poczyną ryczeć jak dziki zwierzę. Inżynier wdryga ramionami. Wie on, że nawet wybuch granatu nie zostanie dosłyszany u góry.

Termometr wskazuje 8 stopni poniżej zera. Wątpliwym jest, czy przy takiej temperaturze zdołają przetrzymać przez 12 godzin

w letnim ubraniu bez posiłku i bez ochrony.

Prawda, jutro jest przecież niedziela i nikt nie zaglądnie do chłodni. Kontrola tych hal odbywa się bowiem u góry przy pomocy przyrządów kontrolnych.

Sytuacja jest naprawdę groźna.

Tymczasem już zimno poczyną dawać się im we znaki. Francuzi poczynają biegać po sali i bić się ramionami. Po dwóch godzinach towarzysz inżyniera zmęczony

siada w kącie. Ale inżynier nie pozwala mu wytchnąć.

Zaśniecie oznacza śmierć.

Poczynają szukać dzwonka alarmowego, ale nadaremnie. Inżynier zmusza swego przyjaciela do dzwigniania razem z nim ciężkich kawałów mięsa, byleby nie podać się snowi. Nagle uwagę inżyniera zwróciło coś w narożniku hali. Przy słabym świetle poczyną on obmacywać przewody chłodnikowe, aż wreszcie wydobywa się z gardła jego coś niby okrzyk radości. Znalazł on to, czego zdaje się szukał. Chwyciwszy za

ciężki hak żelazny,

poczyną on z zawziętością walić w to miejsce rury, gdzie do głównego rurociągu przymocowana jest, za pomocą śrub, mniejsza odnoga. Przyjaciel, przypatrujący się temu poczynaniu inżyniera, przypuszczał, że ten dostał obłędu. Ale inżynier przywołuje go do siebie i nakłania do pomagania mu. Teraz już obaj z całą siłą walą o naśrubek.

Śruby powoli zaczynają się rozluźniać. Jeszcze kilka silnych uderzeń, po czym obaj mężczyźni zawieszają się na rurze, która wyskakuje z łożyska. Płyn zamrażający wylewa się z sykiem na ziemię. Obieg płynu zamrażającego został w jednym miejscu przerwany. Ale siły obu

więźniów są wyczerpane. Upadają na ziemię.

W biurze kontrolny urzędnik dyżurny już od dłuższego czasu mierzy przewody w hali XII. Tam jest coś nie w porządku. Temperatura wykazuje wielkie wahania, ciśnienie obniżyło się. Wszystko to wskazuje na zaburzenia w urządzeniach chłodnikowych. Kontroler, pomstując, ubiera się w kożuch, ciepłe buty i udaje się do chłodni nr XII.

Tutaj znajduje obu Francuzów. Są oni jeszcze przy życiu, ale pół godziny później nie ich już nie byłoby uratowało. (KK)

Oryginalny testament Amerykanki

Kto zdobędzie pięć tysięcy funtów angielskich

W pewnych odstępach czasu zwraca się uwagę uczonym francuskim, że w Francuskiej Akademii Umiejętności przeznaczona jest nagroda 5 tys. funtów angielskich dla tego, kto jako pierwszy potrafi uzyskać połączenie telegraficzne z jedną z planet (za wyjątkiem Marsa). Narazie co pięć lat wypłaca się odsetki od tego kapitału temu astronomowi, który przyczynił się najwięcej do znajomości świata planet.

Fundacja ta należy do najoryginalniej-

szych zapisów, jakie kiedykolwiek poczyniono na rzecz nauki. Wdowa bogatego kupca amerykańskiego, Anna Emilia Klara Guzman krótko po śmierci męża przeniosła się w roku 1889 do Francji i zamieszkała w pewnym klasztorze w pobliżu miasta Pau. Tutaj też sporządziła swój testament, który zawiera m. in. ciekawą passus:

„Zapisuję Francuskiej Akademii Umiejętności 5 tys. funtów szt. jako fundację na nazwisko syna mego Pierre

G. i jako premię dla tego naukowca, który jako pierwszy uzyskał potrafi połączenie z jednym z ciał niebieskich, przy czym warunkiem jest wysłanie telegramu i otrzymanie wiadomości z odnośnego ciała niebieskiego. Planeta Mars jest wykluczona”.

Kiedy sprawa ta znalazła się na pierwszym posiedzeniu Akademii, tylko dwóch członków głosowało za przyjęciem tej fundacji. Wszyscy inni byli zdania, że Akademia ośmieszyla się wobec świata naukowego przez przyjęcie takiego zapisu. Panowało bowiem przekonanie, że nigdy takie połączenie między ziemią a którymkolwiek ciałem niebieskim nie zostanie osiągnięte. Wskazywano też szczególnie na to, że klauzula testamentarna, wykluczająca Marsa, utrudnia spełnienie zadania. Wówczas bowiem stało na stanowisku, że pośród wszystkich ciał niebieskich, Mars posiada największe prawdopodobieństwo zamieszkania.

Lecz przez odrzucenie zapisu sprawa jeszcze nie była załatwiona. Fundacja zawisa narazie w powietrzu. Aż doroku 1900 powracano w Akademii wciąż od nowa do tego tematu. Wreszcie w nowym głosowaniu fundację przyjęto, głównie ze względu na to, żeby z jej odsetek umożliwić prace naukowe niezamierzonym astronomom.

W ten sposób co pięć lat jeden z astronomów francuskich, zasłużony na polu badania planet, otrzymuje narosłe w pięciu latach odsetki z pięciu tys. funtów angielskich.

Akademia stara się nie nadawać sprawie wielkiego rozgłosu. Ale mimo to ma z nią sporo kłopotów. W ciągu lat mnóstwo ludzi, fantastów, obłąkańców i oszustów, zwracało się do Akademii ze swymi pomysłami uzyskania połączenia międzyplanetarnego. Bądź jak bądź trzeba było wszystkie te projekty chociaż tylko pobieżnie zbadać. Jak dotąd, żaden z nich nie zakwalifikował się do gruntownego zajęcia się nim.

Tak więc 5 tys. funtów z fundacji Anny Guzman są jeszcze do wzięcia. Wystarczy wystać na planetę Venus telegram z opłaconą odpowiedzią. (KK)

Kilka słów o plebiscytach

Zapewne każdy obserwator dopiero co minionych wydarzeń podziwiał energię, z jaką obaj dyktatorzy, Mussolini i Hitler, dążyli do przeprowadzenia w Czecho-Słowacji plebiscytu; widzieli w nim narzędzie sprawiedliwości dziejowej, — jedynie słusne pokojowe wyjście z trudnej sytuacji w Europie Środkowej; z drugiej strony obserwatorów bardziej myślicy dziwiło to — że obaj dyktatorzy dążyli do plebiscytu wszędzie — tylko nie we własnym kraju.

Bo można by myśleć — i to zupełnie poważnie o przeprowadzeniu plebiscytów i w tych dwu krajach, ot, np. we Włoszech. Zagadnieniu temu poświęca w belgijskim piśmie chrześcijańskich demokratów „La Cite Nouvelle” ciekawy artykuł dr Turner. Oto ciekawsze wyjątki:

„Właśnie w Trieście, stolicy jednej z prowincji, gdzie Włosi są w mniejszości i gdzie ludność nigdy nie miała możności wypowiedzenia się, czy chce należeć do Włoch, szef faszystów żądał plebiscytu dla zmiany granic innych państw. Istria, która przypadła Włochom na mocy tego samego traktatu w St. Germain, który wytyczył granice Czecho-Słowacji, liczy wśród 1 miliona mieszkańców (prowincji Triestu, Gorizia, Fiume i Zara) 560 tysięcy Słowian (375 tysięcy Słoweńców i 185 tysięcy Chorwatów), 410 tysięcy Włochów i 30 tysięcy Niemców oraz innych narodowości”.

Dziennik twierdzi dalej, że przed erą faszystowską mniejszości te były trakto-

wane oględnie, miały należytą reprezentację w parlamencie. Po kilku latach panowania Mussoliniego Słoweńcy stali się jedną z najbardziej uciskanych mniejszości i byłoby zadowolony, gdyby posiadali choć połowę tych praw, jakie posiadali mniejszości w Czecho-Słowacji.

„Byłem tam — pisze dalej dr Turner — widziałem sam, jak Słoweńcy płakali, opowiadając mi o tym, co bracia ich musieli przeczierać. Gdyby był tam plebiscyt wolny pod ochroną międzynarodową, taki, jaki tak śmiało zaleca Mussolini innym, byłaby bezwzględna większość na korzyść Jugosławii”.

„A możeby tak plebiscyt na rzecz Niemiec w Tyrolu Południowym? Hitler zrzekł się go. Tym lepiej. Biedni Tyrolczycy głosowaliby zapewne z przyjemnością za autonomią; można by stworzyć piękne państewko niezależne terytorialnie, ludność zaś jego przewyższałaby ludność Wielkiego Księstwa Luksemburskiego”.

„Cały świat wie, jak Hitler traktuje mniejszości polską, żydowską i duńską, — nie mówiąc już o Żydach. Liczba obywateli niemieckich — Słowian przekracza 1 500 000, a jeżeli dodać do tego Żydów niemieckich i austriackich — liczba mniejszości przekroczy dwa miliony”.

Co racja — to racja. Wiadomo od dawna, że polityka niemiecka streszcza się w dobrze znanym problemacie Niderlandów, sformułowanym przez IMC Pana Zalglobę.

NASZA NOWELKA

Zazdrość utopiona w morzu

(Z włoskiego)

Mario był niebawem zazdrosny.

Wieczorem, gdy niespodziewanie wrócił do hotelu, dowiedział się od usłużnej pokojówki, że Giovanna, jego ukochana Giovanna, widziana była przed godziną na plaży, gdzie spacerowała, ramię w ramię, z jakimś młodym i bardzo przystojnym mężczyzną.

Mario poczuł, że mu krew wrze w żyłach i grozi zalaniem oczu. Niewierni! Udusiłby ją natychmiast, gdyby ją miał w swoich rękach. Niestety nigdzie nie mógł znaleźć Giovanny.

Jak szalony pobiegł na plażę. Na promenadzie, pod palmami, rzucił krótkie, baczne spojrzenia na pary siedzące na ławkach. W ogrodzie hotelowym orkiestra grała rozlewnie tango. Tenor śpiewał z uczuciem:

„Magnolie pachną upojnie, a ja wyznaje ci moją dozągoną miłość...”

Mario cierpiał niezmiernie, a goniące go słowa pieśni kaleyły mu serce. Giovannę kochał nad życie. Od roku była jego narzeczoną. Postanowili już, że ślub ich odbędzie się w zimie. Wczoraj, gdy z interesami pojechał na dzień do Bolo-

ni, odprowadziła go na dworzec. Gdy zegnali się na peronie, była taka czuła. — Jakby tknięty jakimś przecuciem, wśród pocałunków zapytał się, czy zachowa mu wierność. Dziewczyna zamiast odpowiedzi podniosła dwa wyprostowane różowe paluszki i zrobiła poważną minkę. Jakby przysięgała. A teraz! Co za zmiana! Wiedocześnie był dla niej tylko zabawką. Ach, niewierni!

Mario przebiegał plażę dużym krokami. Zaciskał pięści i mruzczał przez zęby: „Nie daruję jej tego zawodu! Pozna mnie! Przekona się, że nie wolno igrać z moim sercem!”

Pot ściekał mu z czoła. Mimo zmęczenia przejął muskuły, jakby w każdej chwili rzucić się miał na wroga. Wreszcie dotarł do pomostu, wybiegającego daleko w morze. Zapadł już wieczór, ale ciemności na pomoście rozpraszają girlandy elektrycznych żarówek.

Młody człowiek biegł po pustym pomoście i spieszył na sam koniec, do miejsca, gdzie przed rokiem, po raz pierwszy, pocałował Giovannę.

Pałił go wewnętrzny żar. Oparł się na chwilę o balustradę i spojrzał na morze. Pod nim kłębiły się czarne, groźne fale. Zdawano mu się, że stoi nad przepaścią.

— Skończę z nią, z tą zmiłą! — wyrwał mu się okrzyk przez zaciśnięte z bólu zęby. Paznokcie wbił w drzewo balustrady. Wciąż nie mógł się uspokoić i dyszał ciężko.

Naraz usłyszał na pomoście lekkie kro-

ki. Spojrzył i w oka mgnieniu rozpoznał sylwetkę Giovanny.

Zbliżyła się do niego. Mario całym wysiłkiem woli opanował zewnętrzne oznaki wzburzenia.

Dziewczyna poznała go i przyspieszyła kroku.

— Nareszcie cię widzę — zawołała i rzuciła mu się w ramiona.

Młodzieniec zamarł w bezruchu. — Odsuń się odemnie! Z kim chodziłaś pod rękę po południu na plaży? Mów!

— Ja? — zapytała dziewczyna, strojąc niewinną minkę.

— Tak ty! Nie kłam, powiedz prawdę!

— Acha, znowu jesteś zazdrosny — poczęła się bronić, postanawiając pobawić się jego kosztem. Była jeszcze nieomal dzieckiem i nie zdawała sobie sprawy, że niebezpiecznie jest igrać z uczuciami mężczyzny.

— Przyznaj się — rzekł Mario, starając się opanować. — Chodziłaś po plaży pod rękę z mężczyzną? Tak, czy nie?

Giovanna milcząc przytaknęła wdzięczną główką.

— Czy cię całował? — indagował dalej.

— Tak — szepnęła ledwie słyszalnie.

— Kochasz go?

Znowu kiwnęła głową.

— A mnie?

— Ciebie kocham inaczej — odparła i zadrżała mu gorąco w oczy.

— Więc jego też kochasz? — zawołał i w nagłym porywie namiętności uniósł ją na rękach w górę. Trzymał ją w ramionach jak lalkę. Dziewczyna nie wi-

działa jego wykrzywionej twarzy i, śmiejąc się z rzekomej zabawy, wesoło fikała nogami.

Mario, nie puszczając jej, wykrztusił: — Powiedz, że to wszystko kłamstwo! Jeżeli nie zaprzeczysz, wrzucę cię do morza!

Giovanna, myśląc wciąż że to żarty, mruzczała z zadowolenia jak kot.

— Żadateś, żebym była szczerą. A więc prawdą jest, że tego mężczyznę kochałam zanim ciebie poznałam i że zawsze będzie on bliski mojemu sercu.

Mario zaklął i w nagłym przystępie determinacji, zakreśliwszy jej ciałem wielki łuk, wrzucił ją do morza. Ciemne fale zamknęły się nad jej głową.

— Skończyłem z nią na zawsze — ptał i wrócił do hotelu. Spocony i błady rzucił się na łóżko i przeklinał swój los.

W międzyczasie Giovanna, wściekła z powodu nieprzewidzianej kąpieli, plynęła do brzegu. Przemoczona do nitki pobiegła do hotelu i wbiegła wprost do pokoju mężczyzny, z którym po południu, ramię w ramię, spacerowała po plaży. Tylko taki zasępiony zazdrośnik jak Mario mógł nie domyśleć się, że był to jej rodzony brat, który niespodziewanie przyjechał na kilka dni do kapieliska. Opowiedziała mu swoją mokną przegodę.

— Mario jest stuprocentowym mężczyzną — zaopiniował. Będzie doskonałym mężem. Nie pozwoli, byś mu kolki ciosała na głowie.

Po ślubie odbytym w zimie, Mario okazał się stuprocentowym pantoflarzem. (Galia Benet)